



el. przedciosa
...
...
3258/WSK

++
PACIORKOWSKA Zofia ^{AK} ^{W-ue}

2 d. Hubicke
ps. "Tadensz"

1906 - 1989

3285 | WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — ^{††} PACIORKOWSKA *Zofia*
z d. Hubicka
ps. „Tadeusz”

I/1. Relacja ✓ *k. 2, s. 1-4*

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ *k. 10, s. 1-14*

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ *k. 10, s. 1-19*

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ *ksero 5szt.*

I/1 Relacja

- Zofia Paciorkowska 1904-1989 - relacja córki Alicji Paciorkowskiej,
Cieszyn 1996, mps, kopia, k. 2, s. 1-4



T: 3285

3/1/11

ZOFIA PACIORKOWSKA

1904 - 1989

Wpłynęło dnia 12.08.
Ldż 3543 4Sh
Eod

Zofia Paciorkowska z domu Hubicka, urodzona 15 czerwca 1904 r. w Rudnikach. Zona oficera Wojska Polskiego Tadeusza, Marii Paciorkowskiego (do 1939 r. wykładowcy taktyki w Centrum Wyszkożenia Piechoty - CWP w Rembertowie). Córka Powstańca z 1863 r.

Ze względu na zły stan zdrowia nie dokończyła studiów na Wydziale humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1925 r. wyszła za mąż. W 1926 r. urodziła córkę. Do 1939 r. nie pracowała zawodowo, a jedynie społecznie w PCK oraz ucząc rekrutów. W 1938 - 1939 r. przeszła przeszkolenie Sióstr Pogotowia Sanitarnego (na wypadek wybuchu wojny) i praktykę w Izbie Chorych CWP w Rembertowie.

W pierwszych dniach września 1939 r. wyrusza na front z kolumną sanitarną /1/ wojsk zabierając ze sobą córkę. Jadą nocami zbierając po drodze rannych do Brześcia n. Bugiem, gdzie w twierdzy znajduje się duży szpital polowy. Następnie przez płonący Łuków przejechały do Krzemieńca Podolskiego gdzie w dawnym Liceum Krzemienieckim zorganizowany został Szpital Wojenny Nr. 505.

W dniu 17 września szpital zostaje zajęty przez Władze Radzieckie a personel internowany. Na polecenie Komendanta Szpitala dr. Szumskiego, organizuje cywilne ubrania dla rannych żołnierzy i policji. Ułatwia to im ucieczkę przed zagrożeniem wywózką w głąb Rosji.

W szpitalu pracuje jako oddziałowa na chirurgii. Udaje jej się zdobyć przepustkę i wraz z córką przez Białystok i zieloną granicę w Małkini., wraca do Warszawy pod koniec listopada 1939 r.

Po powrocie do Rembertowa dom zostaje okradziony i splądrowany. Przez pierwszy miesiąc mieszka jeszcze na t.zw. Leśnej Kolonii, a następnie po wysiedleniu przenosi się na Kolonię Oficerską przy ul. Olbrychta. Mieszkanie dzieli z p. Pogłowską i ~~Kaluzajewicz~~.

Od pierwszych dni powrotu do Rembertowa, wchodzi do pracy konspiracyjnej ZWZ w wywiadzie wojskowym współpracując z majorem J. Ratajczakiem /2/ i A. Gregorkiewiczem aż do ich aresztowania /3/. Od 1942 r. przechodzi do Wojskowej Służby Kobiet (WSK) Armii Krajowej, pełniąc do końca funkcję referentki sanitarnej ("Felczer D"), czyli Komendantki Służb Sanitarnych. Szefem Służby Zdrowia w Rejonie III "Dęby" był dr. Tadeusz Dobrowolski z którym ściśle współpracowała.

Od 1942 r. przyjmuje pseudonim "Tadeusz". Zabezpiecza Oddziały Dywersji Bojowej w personel sanitarnej, który szkoli na kursach specjalistycznych WSK. Zabezpiecza i magazynuje materiały opatrunkowe i sprzęt sanitarny oraz obsadza

poszczególne punkty sanitarne w całym III Rejonie. Służbowo podlega Komentantce WSK Rejonu - Helenie Kilańskiej ("Bona D"). ps. "Sawa"

Pracując w konspiracji pełni też funkcję kierownicze w RGO (Rada Główna Opiekuńcza) i "Gnieździe Dziecięcym" prowadzonym na zasadach półkoloni przez RGO od 1940 r. Jest też w kierownictwie Polskiego Czerwonego Krzyża i Polskim Komitecie Opiekuńczym oraz Powiatowym Komitecie Samopomocy Społecznej. Współorganizując pomocy dla ludności wysiedlonej z poznańskiego. Jako pielęgniarka przychodni otacza opieką najbardziej zagrożoną ludność Rembertowa i okolic.

Na polecenie Władz RGO, za specjalną przepustką, dociera do obozu jenieckiego żołnierzy z września 1939 r umieszczonych w Fabryce Amunicji "Pocisk" których po pewnym czasie udało się zwolnić. Noszone im były codziennie obiady z kuchni RGO oraz dostarczane najkonieczniejsze leki.

Do jeńców radzieckich po wybuchu wojny niemiecko radzieckiej nie było żadnych możliwości dotarcia. Marli masowo z głodu i chorób zakaźnych.

We wszystkich tych placówkach pracowała do 26 lipca 1944 r. gdyż w tym dniu zarządzona zostaje mobilizacja i skoszarowanie wszystkich żołnierzy A.K. 1 sierpnia 1944 r rozpoczyna się Akcja "Burza" Akcja Burza Sanitariat zostaje także skoszarowany w następujących miejscach:

1. Główny Punkt Opatrunkowy w przychodni na Starym Rembertowie
2. Szpital Miejski istniejący na Nowym Rembertowie od 1941 r przy ul. Jagiellońskiej
3. Wobec licznych zachorowań na tyfus i czerwonkę utworzony zostaje Szpital Zakaźny w budynku przedwojennego gimnazjum (Nowy Rembertów)

Oba te szpitale odegrały bardzo ważną rolę w niesieniu pomocy rannym, ukrywającym się i chorym zakaźnie. Zofia Paciorkowska początkowo pracowała w obu tych szpitalach. Z chwilą gdy "Akcja Burza" na terenie III Rejonu nie mogła dojść do skutku, przeszła do pracy kierowniczej w Szpitalu Zakaźnym. Tam też opiekowała się na rozkaz d-cy Rejonu dwoma rannymi skoczkami radzieckimi. Ukryci zostali na ogólnej sali chorych na tyfus. Także w tym szpitalu ukrywali się żołnierze AK. Oba szpitale były kontrolowane przez grupy lekarzy niemieckich (SS) i w żadnym z nich nie nastąpiła wpadka

Pod koniec sierpnia i na początku września 1944 r /4/ d-cy I i III Rejonu "Obroży" zdecydowali włączyć podległe im oddziały do walk prowadzonych w Warszawie (lewy brzeg Wisły). Należało więc przenieść zmagazynowaną w Rembertowie broń dla Kompanii Praskiej i innym żołnierzom DB, idącym na pomoc lewobrzeżnej Warszawie. Działo się to końcem sierpnia i rześnia 1944r. Transportem broni kierowała na rozkaz d-cy Rejonu m.innymi Zofia Paciorkowska. Do przewożenia jej na Pragę użyto wolne chwilowo sanitariuszki /4/.

W czasie walk o Rembertów, przy wkraczaniu wojsk radzieckich i Lud. Woj. Polskiego - miastow trakcie wkraczania wojsk ZSRR, miasto doznało pewnych szkód, w rannych i zabitych mieszkańcach Rembertowa.. Gdy minął

front szpital na Jagiellońskiej zapełnił się rannymi żołnierzami LWP. Panował głód brakowało opału, szerzył się bardzo tyfus oraz czerwonka. Dotknęło to także i p. Zofię Paciorkowska, jej córkę, Annę Meylert (Nawrot) i wiele innych osób z AK.

Na wiosnę 1945 r rozwiązano obóz jeńców amerykańskich, kanadyjskich i francuskich. Ich rozmieszczeniem w prywatnych kwaterach zajmował się Polski Czerwony Krzyż W mieszkaniach np dr. Małachowskiego oraz u p. Z. Paciorkowskiej mieszkało 4 oficerów amerykańskich. Po pewnym czasie byli jeńcy wyjechali do Odessy. Byli wśród nich Amerykanie polskiego pochodzenia oraz śpiewak Metropolitan Opera, plantator z Kaliforni i inni.

Okres utrwalania się Władzy Ludowej to okres to okres silnych represji represji NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa. Obóz w Fabryce "Pocisk" pękał w szwach od zwozonych tam z całej Polski żołnierzy Armii Krajowej. W Rembertowie represje dotyczą b. wielu.

Przesłuchania odbywają się w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa. NKWD jest dobrze poinformowane. . Odbywa się całodobowy "kocioł" przy ul. Klasztornej 11. W mieszkaniu p. Zofii Paciorkowskiej spędzono wszystkich lokatorów. Rewizje trwają z zmianą z przetrzymaniem p.Z.Paciorkowskiej i jej córki. w piwnicy UB. Są bez dokumentów, gdyż dostały one zabrane po kotle przy Klasztornej.

Pewnego późnego wieczora zjawiają się w mieszkaniu Z. Paciorkowskiej dwaj panowie. Nie pozwalają zapalić światła i zawiadamiają, że p. Zofia wraz z córką są na liście wywozonych do Rosji. Radzą natychmiast wyjechać z Rembertowa i nie dopytywać się o swe dokumenty.

Tak rozpoczyna się nowy rozdział w życiu i okresie PRL. Z.Paciorkowska z córką wyjeżdżają na Śląsk. W roku 1947 chce wyjechać do męża do Londynu. Niestety przeprawa przez zieloną granicę nie udaje się.

Po powrocie p. Z.Paciorkowska zdaje egzamin państwowy i pracuje w różnych placówkach służby zdrowia w Katowicach. W 1953 r przeniesiona do Cieszyna pracuje tam jako przełożona w Szpitalu Przeciwgruźliczym (zaraz po wojnie choruje na gruźlicę i często spędza czas w sanatoriach). W 1962 r przechodzi na emeryturę. Mąż jej powrócił z Angli w 1958 r. Przez ostatnie lata życia nie wstała z łózka.

Odznaczona została przez Rząd Polski w Londynie: Medal Wojska - 4 krotnie, /Medal za Kampanię 39 r./Medal za Wojnę Obronną , Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Powstańczy i inne

Zmarła 17 kwietnia 1989 r w Cieszynie.

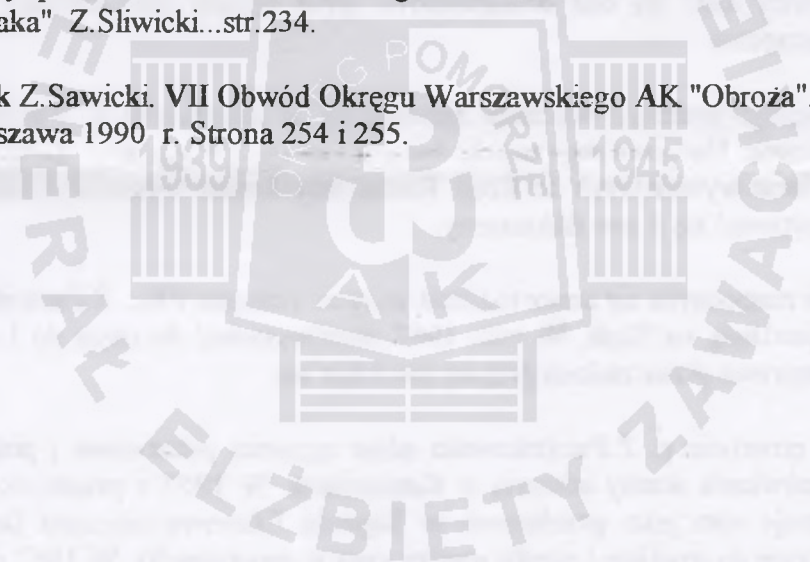
opracowane
wzke

Cieszyn, 1996.05.30.

July

Przypisy

1. Ten wycinek życia wojennego opisała w książce "Wspomnienia pielęgniarek" PZWL.Warszawa 1962 r. Wyd 1.
2. Mjr. Józef Ratajczak oficer pracujący w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie. Aresztowany przez Gestapo w 1940 r. Osadzony na Szucha, torturowany zmarł. "Meldunek z Pawiaka". Z.Sliwicki PWN Warszawa. Wydanie I 1974 r. (strona 222).
3. Harcmistrz Antoni Gregorkiewicz pseudonim "Zakliczewski", "Krokodyl", był kierownikiem Szkoły Powszechnej Nr 3 w Rembertowie (koło Poligonu). Jeden z pierwszych organizatorów Szarych Szeregów (ZHP). Komendant Okręgu Prawobrzeżnego Mazowieckiej Chorągwi Szarych Szeregów (Ul.Puszcza). Aresztowany 2 października 1942 r. Przeszedł ciężkie przesłuchania w Gestapo na Szucha. Torturowany, wywieziony do Oświęcimia .Powrócił. Zorganizował we Wrocławiu Technikum Zeglugi Śródlądowej, którego dyrektorem był przez wiele lat. Zmarł 8 lutego 1977 r we Wrocławiu "Meldunek z Pawiaka" Z.Sliwicki...str.234.
4. Jacek Z.Sawicki. VII Obwód Okręgu Warszawskiego AK "Obroza". PWN Warszawa 1990 r. Strona 254 i 255.



Zygisiorp Mawm

- Przepustka na wstęp do szpitala, Szpital Wojskowy nr 505, 1939, mps, rkps, kopia, k. l. s. 1
- Przepustka Komitetu Rewolucyjnego, Kozieniewicz 1939, mps, rkps, kopia, k. l. s. 2
- Zgoda na wyjazd z Kozienic do Warszawy, Kozieniewicz 1939, mps, rkps, kopia, Kozieniewicz 1939, j.-ros., k. l. s. 3
- Kartka pocztowa z obozu jenieckiego, 1939, mps, rkps, oryg., k. l. s. 4-5
- Nakaz opuszczenia mieszkania, Rembertów 1940, mps, rkps, kopia, k. l. s. 6
- Legitymacja Komitetu Samopomocy Społecznej, W-wa 1940, mps, rkps, ksero kolor, k. l. s. 7-8 j.-pol., j.-niem.
- Pismo z Polskiego Komitetu Opiekunczego, Rembertów 1942, mps, rkps, kopia, k. l. s. 10
- Świadcstwo o zwolnieniu z więzienia, Szczecin 1947, mps, rkps, oryg., k. l. s. 11-12
- Zaświadczenie Miejskiego Kom. Opieki Społecznej, Rembertów 1951, mps, rkps, kopia, k. l. s. 13
- Orzeczenie o odtworzeniu aktu małżeństwa, W-wa [b. d.], mps, rkps, kopia, k. l. s. 14

E/2/17

Szpital Wojenny Nr. 505

L.ew. 128

Przepustka

Dla *pani Paciorekowskiej Zofii siostry miłosierdzia*
.....
któremu zezwalam na wstęp do koszar szpitala.

Miejsce postoju, dnia *18/V* 1939 r.



Komendant Szpitala

[Signature]
dr Szumski Artur polk.ik

KOMITET REWOLUCYJNY

w Krzemieniu

Referat Opieki nad uchodźcami

2226

Krzemieniec dn. 25 września
1939 r.

1/2/2

Komitet Rewolucyjny w Krzemieniu zezwala okazjeelowi
niniejszej przepustki Ob. *Paciorkow Ra Zofia* na opuszcze-
nie powiatu krzemienieckiego i zwraca się do wszystkich osób
i Instytucyj, których to dotyczyć może o nieutrudnianie w/w
powrotu do miejsca przeznaczenia w *Harna*

Zezwala się wymienionemu na użycie roweru, pocią-
gu.-

Za Komitet:

Sytko

Ldz. 3593 WSKm

1/2/3

Тимчасове Управління
міста Кременця

Кременець, Дн. 7/11/1939 р.

збірка

До
Начальника залізничної станції

Тов. *Пачерішова Зосима Алича*

дозволяється одержати вільний проїзд з Кременця до *Варшави*



За Управління. *Т. С.*

L. 02. 3543 WSK 02

Absender:

Vor- u. Zuname: *Tadeusz Pasiorkowski, Mjr.*

Gefangenen-Nr.: *15101*
Oflag VII A, Deutschland
Block C / Kaserne 42.

Kriegsgefangenenpost

15/4
20.11.33 11-17

An

Helfa Pasiorkowska
Zona majora

Rembertów

pod Warszawą
poligon

21215

Łosienko najkochańsza! Jesteś obecnie w no-
wym obozie pensjon. Yestern kolron. Czekam ciagle
od Ciebie wiadomości. Jest tu major Szepietowski
który też wie oia wiadomości od mojej Matki.
Dostanętem odta Ciebie kilkaset złotych u
kapitana doktora Makatto u Kieleck
szpital Ożernonego Knyja daj mu więc gdzie
jestes' napisz pisać kogo Ci przesła. Do mnie
pisz według adresu na ośrodku dajże
na kartce nagłówek Kriegsgefangenenpost.
Pisz mato to chętnie przebieje.
Mocno całuje obie moje sedywaerki
12. XI. 1939-1

E/2/6

do tego czasu mieszkała z córką, Alją w folwarku C. W. Piech
(obecnie teren Sztabu Generalnego)

Lagerkommandantur
Rembertow

Rembertow, den 4. April 1940.

An

Paciorkowska

In Lager Rembertow

Haus Nr. 45 Wohnung 2i

Sie werden hiernit aufgefordert, die von Ihnen
bewohnte Wohnung **s o f o r t** zu räumen, da dieselbe
seitens der Heeresverwaltung dringend benötigt wird.

Der Kommandant

Freiherr v. Dittfurth

Major.

Niniejszym wzywamy, zażmowane mieszkanie natychmiast
opóżnić, ponieważ jest ono pilnie potrzebne dla celów
wojskowych.

Der Kommandant

/-/ Freiherr v. Dittfurth

Major.



L.dz. 3543 ASK 02

5/2/7

KREISKOMITEE DER SOZIALEN SELBSTHILFE
DES KREISES WARSCHAU-LAND.

POWIATOWY KOMITET
SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ W WARSZAWIE.

Der Vorstand des Kreiskomitees der sozialen Selbsthilfe in Warschau bestätigt hiermit, dass Herr-(Frau)

Zarząd Powiatowego Komitetu Samopomocy Społecznej w Warszawie niniejszym zaświadcza, że Pan (Pani)

Paciorowska Zofia

Paciorowska Zofia

wohnhaft in Rembertow

zamieszkała w Rembertowie

ist Mitglied des Komitees

jest członkiem

der sozialen Selbsthilfe der Stadt-Gemeinde

Samopomocy Społecznej

Rembertow

ständig in

Komitecie Samopomocy Społecznej miasta-gminy Rembertowa

diesem Komitee beschäftigt ist.

i jest stale zatrudniony(a) w tym Komitecie.

Der § 2 der Verordnung des Generalgouverneurs vom 26.X.1939 (V. Bl. Nr. 1) betreffs Befreiung von Zwangsarbeitspflicht findet somit an obengenannten(e) Anwendung.

Wskutek tego do wyżej wymienionego mają zastosowanie przepisy § 2 rozporządzenia Generalnego Gubernatora z dnia 26.X.1939 (Dz. Rozp. Nr. 1) o zwolnieniu od obowiązku pracy przymusowej.

Gültig bis 31.XII.1940.

Ważne do dnia 31.XII.1940 r.

SEKRETARZ — SEKRETARZ

VORSITZENDER — PREZES

M. Siaty



P. Stożek

L.dz. 3543 WSKD2

1/2/8



R.G.O.
Polski Komitet Opiekunów
Powiatu Warszawskiego
Delegatura w Rembertowie.

Rembertów, dnia 6. I. 42.

Nr. 2/42.

Do

Pani Pacierkowskiej Zefii

w Rembertowie.

Zarząd Delegatury Polskiego Komitetu Opiekunów w Rembertowie uprzejmie prosi Panią o przejęcie opieki nad 5-cioletnimi jeńcami Polakami, przebywającymi w obozie w Rembertowie oraz o dobranie sobie odpowiedniego zespołu ludzi do tej akcji.

Wszelką pomoc dla jeńców oraz terminy udzielania jej prosimy każdorazowo z Delegaturą.

Sekretarz:

Lasecki
LASECKI

Przewodniczący:

Grgorkiewicz
GRGORKIEWICZ



l. d. 2. 3543 45K 02

Wiezienie w

Data 2. 8. 1917

Nr akt sprawy Kp. 991/47

Nr księgi więźniów 403/47

Świadcstwo o zwolnieniu

Wiezien *Paciorkowska Sofia*
z *Buchacz* powiatu *Kielec*
skazany wyrokiem *Sądu Grodzkiego w Opatowie*
z dnia *16. 6. 1917* r. na *15 lat 2 tyg*
Giełtka za *230 gr. kary*

zwolniony został dziś po odbyciu kary. Podczas pobytu w więzieniu sprawował się *dobrze*.
jest zameldować się w biurze *Milicji w Bytomiu*
nie później, jak dnia *4. 8. 1917* r.

NACZELNIK WIEZIENIA



2^o.000 XI-96 Nr 1056 Druk W. M.
Świadcstwo o zwoln. Wiedeń Nr 3



C K O S
Miejski Komitet Opieki Społecznej

REMBERTOW

Zaświadczenie

Zarząd Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej w Rembertowie niniejszym zaświadcza, że ob. Paciorkowska Zofia pracowała w okresie od 15 lutego 1940 r. do 31 maja 1946 r. na terenie Opieki Społecznej w Rembertowie, a mianowicie:

od 15.2.40r. do 1.12.42 r. jako higienistka Ambulatorium Dziecięcego, i jednocześnie jako Kierowniczką Gniazda Dziecięcego;

od 1.12.42 r. do 20.5.44 r. jako Referent Pomocy Dzieciom i Młodzieży

od 1.5.44 r. do 20.7.44 r. jako higienistka w Przychodni Przeciwgruźliczej Miejskiego Ośrodka Zdrowia.

od 20.7.44 r. do 1.11.44 r. jako Kierowniczką Gospodarczego Szpitala Zakaźnego.

od 1.11.44 r. do 31.5.46 r. jako Kierowniczką Biura Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej.

Ob. Paciorkowska Zofia, na wszystkich zajmowanych stanowiskach wykazała sumienność w pracy, wiele inicjatywy i czystość charakteru.

Zarząd M.K.O.S. z wielkim żalem rozstaje się z ob. Paciorkowską, która odchodzi na własne żądanie, polecając ją jako czkowieka i pracownika o wielkich zaletach i walorach moralnych.

pieczęć okrągła j.w.

podpis nieczytelny

Za zgodności z oryginałem

z dnia

27.11.1957

Administracja Szpitala Miejskiego

Wieloletni Kalendarz (10-letni Kalendarz) w 1945 roku
 zawiera informacje o dniach wolnych i dniach pracy
 w 1945 roku. W tym celu należy sprawdzić daty
 świąt i dni wolnych w 1945 roku. W tym celu
 należy sprawdzić daty świąt i dni wolnych
 w 1945 roku. W tym celu należy sprawdzić
 daty świąt i dni wolnych w 1945 roku.



5/2/44

PRZYBYWNI
WARSZAWA
Staro Miasto

Warszawa dnia

Sa.II.61099)1230)56

ORZECZENIE

Po rozpatrzeniu sprawy z wniosku **Paściorkowska Zofia**,
zam. **Cieszyńska ul. Wyspiańskiego 15**, . . . o odtworzenie ~~ustalenie~~
aktu (metryki) małżeństwa sporządzonego w parafii **Wojšk. MP Królowej**
w . . . **Warszawie** . . . dnia **19** luty roku **1925** . . .
na nazwiska . . . **Paściorkowski Tadeusz** i . . . **Hubička Zofia** . . .

Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Warszawa Stare Miasto na podstawie
art. 21 ust. 1 (art. 28) prawa o aktach stanu cywilnego (Dz.U. Nr 23 p. 151 z 1953 r.) ustala treść w) w akcie małżeństwa w następującym brzmieniu:

1. Nazwiska i imiona osób które zawarły związek małżeński:
 - a) mężczyzna . . . **Paściorkowski Tadeusz**
 - b) kobieta . . . **Hubička Zofia**
2. Stan cywilny a) . . . kawaler b) . . . panna
3. Zawód a) . . . oficer W.P. b) . . . bez zawodu
4. Miejsce i data urodzenia a) mężczyzny **15.III.1900, Warszawa**
b) kobiety **15.VI.1904 Bułniki**
5. Nazwiska i imiona rodziców oraz nazwisko rodowe matki
 - a) ojciec mężczyzny . . . **Paściorkowski Stanisław**
 - b) matka " . . . **Konstancja zd. Tymowska**
 - c) ojciec kobiety . . . **Hubički Konrad**
 - d) matka " . . . **Cezaryna zd. Kłemińska**

Treść odtworzonego (~~ustalenie~~) aktu małżeństwa podlega wpisaniu do Urzędu
Stanu Cywilnego W-wa Stare Miasto ul. Nowy Świat 18) 20.

Niniejsze orzeczenie nie zastępuje aktu małżeństwa. -

Henryk
Henryk



L.śz. 3543 WSK02

Toruń 14 X 2002 r.

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie A
ul. W. Garbary 2, tel.
87-100 TORUŃ

Pani Alicja Paciorkowska
ul.
43-403 Cieszyn

1.dz.3745 WSK 2002 r

Szanowna Pani,

Dziękuję za przesłane następujące materiały na temat Pani śp. Matki Zofii Paciorkowskiej z d. Hubickiej:

1. Relacja oprac. przez córkę A. Paciorkowską, Cieszyn 1996.
2. Orzeczenie o odtworzeniu aktu małżeństwa, W-wa (data nieczytelna) - ksero.
- ✓ 3. Nakaz opuszczenie mieszkania, Rembertów 1940 - ksero.
4. Odpis zaświadczenie z Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej, Rembertów 1951 - ksero.
5. Świadectwo o zwolnieniu, Szczecin 1947 - oryg.
- ✓ 6. Kartka pocztowa z obozu jenieckiego, 1939 r. - oryg.
7. Bescheinigung, Rembertów (data nieczytelna) - ksero
- ✓ 8. Legitymacja Komitetu Samopomocy Społecznej, W-wa 1940 - ksero kolor.
- ✓ 9. Pismo z Polskiego Komitetu Opiekuńczego, Rembertów 1942 r.
- ✓ 10. Przepustka ze Szpitala Wojennego, 1939 r. - ksero.
- ✓ 11. Przepustka Komitetu Rewolucyjnego, Krzemieniec 1939 r. - ksero.
- ✓ 12. Zgoda na wyjazd z Krzemieńca do Warszawy, Krzemieniec 1939 r. - ksero.
- ✓ 13. Odezwa do żołnierzy Powstania Warszawskiego i mieszkańców Warszawy.
14. Lista żołnierzy rejonu III przedstawionych do odznaczenia Krzyżem Walecznych
15. Lista żołnierzy rejonu III przedstawionych do odznaczenia Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami (czy może Pani podać źródło tych kserokopii?).
16. Fotografie Zofii Paciorkowskiej, 4 sztuki - ksero.

Na podstawie tych materiałów została założonateczka osobowa na nazwisko Pani matki o numerze inwentarza 3285/WSK. Cieszę się, że zechciała Pani wzbogacić nasze zbiory o materiały Pani śp. Matki.

Dziękuję także za przekazanie do Biblioteki FAPAK książki pt. *III Rejon „Dęby” (Rembertów) Armii Krajowej 1939-1944*, a także za przekazanie na prace Fundacji sumy 20 złotych. Dzięki takim darom wiemy, że praca nasza jest potrzebna i doceniana.

Szanowna Pani, jeszcze raz dziękuję za przesłane materiały i przepraszam za opóźnienie w odpowiedzi. Załączam serdeczne pozdrowienia.

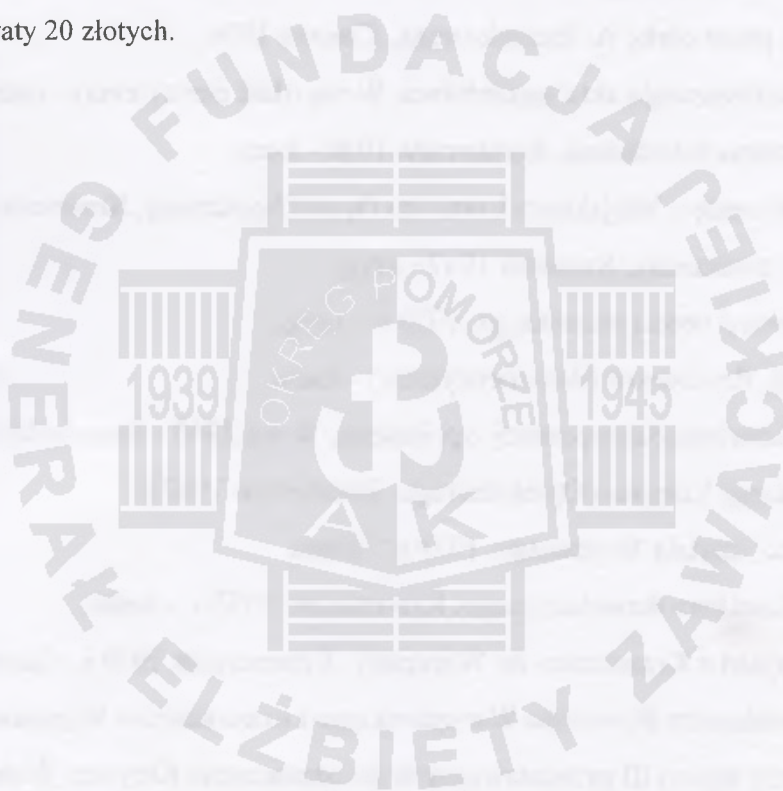
Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp
Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

Załączam:

- 1) Pokwitowanie wpłaty 20 złotych.



II Materiały uzupełniające relację

- wspomnienie pielęgniarek pod red. J. Brzozowskiej, H. Stefaniskiej i St. Rybickiego, W-wa 1962, kopia, k. 9, s. 1-19.
Wpłynęło do fundacji w 2002r.



II/1

WSPOMNIENIA PIELEŃNIAREK

PRACA ZBIOROWA POD REDAKCJĄ

I. BRZozOWSKIEJ, H. STEFAŃSKIEJ i St. RYBICKIEGO



Wpłynęło dnia 21.10.
Licz. 3801 WSK 1002

OD PANI Z. Pacioekowicz

WARSZAWA 1962

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICTW LEKARSKICH

Redaktor prowadzący: mgr K. Koncewicz
Redaktor techniczny: Cz. Lisiak
Korektor: M. Winkowska



Praca drukowana na zlecenie Zarządu Głównego Zw. Zaw. Służby Zdrowia
Symbol 52 SS 104

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICTW LEKARSKICH — WARSZAWA 1962 R.
Wydanie I. Nakład 5.000 + 205 egz. Objętość ark. wyd. 52,3 = 46,625 ark. druk. Papier
druk. mat. kl. V, 70 g, 70 × 100/16. Oddano do składania dnia 29. V. 1962 r. Podpisano
do druku i druk ukończono w grudniu 1962 r. Zam. druk. nr 65K z dnia 31. V. 1962 r. G-019.
CIESZYŃSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA — CIESZYN, ULICA POKOJU NR 1
Cena zł 68.—

HISTORIA NIEBOHATERSKA

ZOFIA PACIORKOWSKA

NAZAJUTRZ wypłacono nam nowe dodatki wojenne i zaraz potem przyszedł nowy rozkaz: tym razem mieliśmy sformować kolumnę sanitarną i ewakuować się na Brześć nad Bugiem. Nie pamiętam dziś daty tego dnia, jak i dni poprzednich. Od wybuchu wojny nie upłynęło jeszcze chyba dwa tygodnie, a stało się już tak wiele. Przynajmniej my to tak odczuwaliśmy, odcięci tutaj od świata, wyczekujący naszej godziny, która wybić nie chciała. Zrezygnowani po odwołanym marszu do Warszawy, zebraliśmy się zaraz po obiedzie, gotowi do drogi, w przedsiönku ~~Siedleckiej~~ ^{parlamentarnej} Izby Chorych. Ostatni obiad w naszym kochanym domu, gdzie wszystko jeszcze nosiło ślady dawnego życia. Obeszłam każdy kąt, uchyliłam okna, pozostawiając je, w myśl instrukcji OPL, nie domknięte, żeby nie wyleciały, pozaklejane „przepisowo” jeszcze przez Tadzika, szyby. Wyszliśmy. Nie wiem, co wówczas myślałam. Chyba nic. Nie byłam zdolna do żadnego myślenia.

Staliśmy gotowi. Nie potrafiłam trwać w bezczynności, więc zawróciłam jeszcze na chwilę do ambulatorium, by sprawdzić, czy wszystko zostało zabrane: paki z materiałem opatrunkowym, lekami, narzędziami chirurgicznymi. Przez okno dojrzałam czekające auta sanitarne. Sześć nowych, dobrze wyposażonych sanitarek, na 4 rannych leżących lub 12—14 siedzących, z miejscami dla obsługi i dwu kierowców. Pierwsza załadowana była całkowicie zapasami benzyny. Obcy szoferzy i ich pomocnicy kręcili się koło nich, zajęci rozmową.

Zawołano mnie z dołu. Nie doszłam do końca schodów, kiedy rozległ się przeraźliwy ryk syren i jeszcze nim przebrzmiały, nadleciały samoloty. Rozległ się huk, trzask, tynk posypał się na nas, z oszklonych drzwi z brzękiem wyleciały szyby. Nasi nowi sanitariusze zaczęli śpiewać swoje hymny głosami cichymi i smutnymi, jak pieśń pogrzebową. Staliśmy zbici w gromadkę bez słowa. Znacznie później dowiedziałam się, że był to jedyny nalot na poligon i jedyna bomba, zrzucona widocznie dla postrachu. Uszkodziła ona niedaleki budynek pralni, oszczędzając — nie bez powodu — wszystkie inne obiekty poligonu, które już zawczasu hitlerowcy przygotowali dla siebie.

Dopiero wieczorem, o zupełnym zmierzchu, ruszyliśmy naszymi nowymi sanitarkami przez płonące ulice Siedlec na ^{Konin} Łuków. Szosy były kompletnie „zakorkowane”, z trudem przedzieraliśmy się przez pełną tłum. Za jakąś wsią zatrzymaliśmy kolumnę: ktoś z szosy dawał znaki rękami. Na ziemi przy rowie leżała młoda kobieta z urwanymi obiema nogami, straszliwie krwawiąca, a obok mały, przerażony chłopczyk. Przy świetle ręcznych latarek, zaciemnionych szafirowym szkłem, założyliśmy jej opaski zaciskające i prowizoryczne

opatrunki, i teraz, nie zważając na nic, pędziliśmy do Łukowa, gdzie umieściliśmy ranną i dziecko w małym szpitaliku. Nie udało się uratować jej. Zmarła zaraz po przeniesieniu.

Wojna. — C'est la guerre — mruknął ktoś, jakby tłumacząc spotkaną pierwszą tragedię.

Słońce już stało dość wysoko, kiedy minęliśmy Łuków i skręcili w boczną dróżkę, by zatrzymać się w pobliskim lesie i tam przeczekać dzień. Okazało się, że las był gęsto zaludniony wojskami różnych formacji. Najbliżej naszego postoju stał jakiś oddział saperów, którzy gościnnie zaprosili nas na śniadanie, a potem i na obiad.

Zapasy żywności, w jakie zostaliśmy zaopatrzeni na drogę, okazały się mocno nieodpowiednie, chociaż nie można im było odmówić wysokich wartości kalorycznych. Posiadaliśmy wyłącznie kiełbasę i czekoladę. Chleba ani nic innego nie było. Toteż kasza, suto zaprawiona mięsnymi konserwami, pachnąca specyficznym kotłem i dymem ogniska, smakowała nam nadzwyczajnie.

Na razie było spokojnie, można było odpocząć. Cóż, kiedy wyszła nowa bieda — skończyły się zapasy wody. W okolicznych wsiach studnie były wysuszone do dna przez przechodzące tędy liczne wojska, nawet stawy i rowy przydrożne stały puste, bo i deszczu nie było od dawna. Nasi saperzy widocznie skądś czerpali jeszcze wodę, lub też posiadali większe jej zapasy, bo kotły szumiały bez przerwy. Ale czym było się umyć? Od wczoraj nie myliśmy nawet rąk, nieprawdopodobnie brudnych po podróży, a przede wszystkim po nocnym opatrunku na szosie. Rade, nierade, zdecydowałyśmy się umyć za osłoną gęstych zarośli w saperskiej kawie.

Około południa pokazały się samoloty i zaczęło się gęste ostrzeliwanie szosy, gdzieś w pobliżu dudniły spadające bomby. Ostrzelano nas zdrowo. Bombowce i stada eskortujących myśliwców myszkowały dokładnie, spodziewając się widocznie większego skupiska wojsk w tym miejscu. Z drugiej od nas strony ostrzelano i sam las. Cały ten czas trwaliśmy przycupnięci nieruchomo — rozkaz był surowy: nie wolno się poruszać, palić ognia, papierosów i w żadnym razie wydalać się z gęstwy leśnej. Nie było więc nadziei na spełnienie naszych zamierzonych poszukiwań wody.

Kiedy znów ucichło, otrzymaliśmy rozkaz od kapitana patrolowania, czy nie ma gdzie rannych w lesie po nalocie. Wyruszyliśmy z drem Jankiem i jednym z naszych „baptystów” w kierunku wschodnim, inne patrole rozeszły się po wyznaczonych im rejonach. Znaleźliśmy rannych koło wsi, było ich sześciu czy siedmiu. Większość z nich miała uszkodzenia tylnych części ciała: pośladków, ud i podudzi — skutek krycia się w pozycji skulonej. Jeden z nich, znaleziony dalej, młodzieńki plutonowy, był ranny w podbrzusze z dużymi uszkodzeniami. Leżał już od wielu godzin, po wczorajszym jeszcze nalocie, wykrwawiony, z objawami szybko posuwającego się zakażenia. Na pierwszy rzut oka zrozumieliśmy, że nie da się go uratować. Chłopiec był załamany i z rozpaczą

biadał, jak wróci do domu i do młodej żony jako straszny kaleka. Zmarł przy nas. Dr Janek zanotował miejsce, aby go później pochować. Po opatrzeniu pozostałych, załadowaliśmy ich na zarekwirowany wóz.

— Białe konie. A to pech, widoczne będą z daleka — wyrzekął dr Janek na widok szkap wlokących wóz przez leśne, pełne wystających korzeni dróżki rzadkiego w tym miejscu lasu.

Wolno wjechaliśmy w głąb lasu. Dopiero teraz zorientowałam się, jak był duży. Znaleźliśmy się na niewielkiej polanie, z jednej strony zamkniętej młodym zagajnikiem, z drugiej rzadko porośniętymi smukłymi sosnami. Zanim woźnica skręcił w gęstsze miejsce, na niebie pojawiły się znowu samoloty i jednocześnie prysnął deszcz z karabinów maszynowych. W mgnieniu oka zładowaliśmy rannych z wozu, ukrywając ich w zaroślach, woźnica rozpaczliwie wypręgał spłoszone konie, które wyrwały się ze zbawiennego gąszczu, biejąc zadami. Chwycił je krótko przy pyskach i ciągnął siłą, niepomny na własne niebezpieczeństwo. Skoczyłam, aby zasłonić go gałęziami.

— Padnij. Padnij — ryknął dr Janek.

Konie zniknęły wreszcie w gąszczu, a ja padłam, ale bardzo niefortunnie, bo prosto w mrowisko. W jednej chwili oblażył mnie wielkie, czerwone mrówki, klując niemiłosiernie. Zerwałam się jak oparzona i zaczęłam strząsać kłuszące owady, nie dostrzegając nawet siekających wkoło pocisków i nie słysząc krzyków wszystkich trzech mężczyzn. Jakimś cudem szczęśliwie wyszliśmy z opresji, ale się nasłuchiwałam, to się nasłuchiwałam od dra Janka.

Wczesnym rankiem znaleźliśmy się w twierdzy Brześć nad Bugiem. Nasze sanitarki umieszczono w ustronnym, zadrzewionym miejscu pod murem, gdzie parkowało już wiele innych samochodów. Nasz dowódca, dr S., poszedł od razu zameldować nasze przybycie u komendanta twierdzy, a po przeniesieniu naszego „majątku” do budynku szpitala i my zostaliśmy skierowani do okazałego pawilonu, gdzie mieściły się przestronne sale operacyjne i opatrunkowe.

Zdążyłam umieścić Aluškę z Adelajdką w schronie. Był równie wielki i doskonale rozplanowany jak wszystko tutaj. Strop bardzo gruby, chyba na dobre kilkanaście metrów, kręte, osłaniające dobrze przedsionki, wszędzie światło elektryczne, porządne ubikacje, bieżąca woda, idealnie czysto. Schron wypełniony był ludnością cywilną spośród rodzin tutejszych wojskowych i z właściwego miasta Brześcia, położonego niedaleko twierdzy. Ustawiono tu szerokie, wygodne ławy, kilka stołów i prycz z siennikami suto wypchanymi słomą. Właśnie jakiś żołnierz rozlewał kawę do podstawianych przez ludzi rozmaitych naczyń. Spokojna o los moich dziewcząt wróciłam do naszego kapitana, który skierował mnie do jednej z sal opatrunkowych. Momentalnie zostałam ubrana w świeży fartuch, umyłam się i zaraz znalazłam się przy jednym ze stołów, gdzie zaczęłam pracować ze starszym, nie znanym lekarzem. Rannych było wielu, rany rozmaite. Na naszej sali byli raczej lżej ranni, tacy, których dało się na miejscu zaszyć, spiąć klamerkami i po nałożeniu opatrunku oraz

wstrzyknięciu surowicy przeciwżółcowej, odesłać do sal szpitalnych w drugim skrzydle budynku, czy też do innych pawilonów.

Jednego z tych rannych zapamiętałam dotąd. Był to kapral, zupełnie młody, poniżej 20 lat chyba. Po zdjęciu u niego polowego opatrunku ujrzeliśmy okropną ranę twarzy: lewy policzek wraz ze szczęką górną był porozrywany. Chłopiec był brudny, załamany psychicznie, splamiony krwią, która twardą skorupą zlepiła mu mundur. Myśliśmy go delikatnie, robiąc długie, bolesne opatrunki. Wreszcie, kiedy przystąpiłam do bandażowania, chłopiec rozplakał się nagle.

— Czy pana tak bardzo jeszcze boli? — spytałam zmieszana widokiem męskich łez. Długo nie odpowiadał.

— I co teraz ze mnie będzie? Kto na mnie spojrzy? Będę ludzi straszył tą swoją twarzą — wyrzucił z siebie, patrząc na mnie z tak wielką rozpaczą, że serce mi się ścisnęło.

— Jeżeli w ogóle wrócę... — dodał posępnie.

„Jeżeli w ogóle wrócę”... — kto to niedawno wypowiedział te same słowa? I rozpacz w głosie była taka sama... Tak, to był tamten zmarły plutonowy z lasu... I on skarżył się tak samo — Jakże ja, taki kaleka, powrócę do domu? Jak się pokażę żonie, ludziom we wsi... przecież będą wiedzieli... — Zaczęłam uspokajać biedaka, tłumaczyć mu, że rana zostanie ładnie „załatana”, że zęby dostanie równie ładne jak te pozostałe, a blizna na policzku doda mu jeszcze uroku.

— Blizna? — przerwał — przecież z takiej rany nie może pozostać tylko blizna. To wygląda obrzydliwie. Wszyscy będą się mnie brzydzili — krzyknął — I siostra też się mnie brzydzi.

W odpowiedzi objęłam go lekko i ucałowałam w zdrowy policzek. — Jest pan ślicznym chłopcem — powiedziałam tonem jak najbardziej przekonywającym. — A pan nie wie, że takie ślady bohaterstwa najbardziej podobają się dziewczętom? — Uścisnął mnie mocno za rękę i niepewnie się uśmiechnął. Nie wiem, czy uwierzył. Może chciał raczej uwierzyć, znał przecież z pewnością dziewczęta. Niestety, tylko nielicznym taka pamiątka wojenna może się podobać...

Byłam zmęczona i zdenerwowana. Nie było czasu wyjść ani na chwilę, zajrzeć do schronu, naloty były już kilka razy, nie wiedziałam, co się dzieje z moimi dziewczętami.

Wieczorem ładowaliśmy rannych na sanitarki, którymi transportowano ich do pociągów sanitarnych, uwożących ich z zagrożonych okręgów w kierunku wschodnim. Tam widocznie istniały etapowe szpitale w bezpiecznym miejscu, oddalone od linii frontu. Wtedy nie orientowaliśmy się jeszcze, że właściwie w tej wojnie pojęcie „linii” nie znaczyło nic, bo front był wszędzie...

Po nocy na sali przybyło wielu bardzo ciężko rannych. Rano, gdy po po-

bieżnej tylko toalecie zabrałam się do sterylizacji, zostałam wezwana do komendanta szpitala.

— Uda się pani natychmiast, siostró, w towarzystwie żandarma — wskazał na stojącego obok żołnierza z żółtymi wypustkami na mundurze — do V pawilonu. To jest pawilon jeńców. Proszę tam zająć się nimi i zrobić co potrzebne. Nie ma tam nic poważnego u nich.

Poszłam w towarzystwie „opiekuna” do owego pawilonu. Był to nieduży, murowany barak o kilku niewielkich salkach. Na słomie, rozrzuconej dość skąpo na podłodze, leżało kilkunastu niemieckich lotników. W przedsionku stał żołnierz z obsługi sanitarnej, gapiąc się leniwie na bezchmurne niebo. Za parterowymi oknami dojrzałam przechadzających się żandarmów w pełnej gotowości bojowej. Rozejrzałam się wokół, obesłam salki. Ostatnia pełna była łóżek ustawionych w piramidkę, na ziemi leżały puste sienniki.

— Jak to? — spytałam sanitariusza — dlaczego ranni leżą na podłodze, skoro są łóżka? Wzruszył ramionami. — Nie wiem — odparł niechętnie. — Czy dostali śniadanie? — ciągnęłam indagację, zerknąwszy na zegarek. Dochodziła jedenasta. — Śniadanie? — zdziwił się szczerze. — A niech zdychają fryce, szwabskie nasienie — rzucił nienawistnie.

Uczono mnie, że żołnierz ranny i jeńiec przestaje być wrogiem, jest tylko człowiekiem potrzebującym pomocy. Takie też było moje najgłębsze przekonanie. Natychmiast więc zawróciłam do głównego pawilonu i skierowałam się wprost do komendanta, meldując, jaką zastałam sytuację. Wysłuchał mnie z wyraźną niechęcią, nie odpowiadając nic.

— Czy mogę pobrać materiał opatrunkowy, posłać do kuchni i... — zaczęłam.

— Niech pani bierze, co chce, i niech pani robi, jak chce — dorzucił.

Czułam, że dalszym ciągiem byłaby słodka propozycja: „I niech pani idzie do diabła!”... Nie czekałam tego dalszego ciągu. Wysłałam sanitariusza do kuchni po śniadanie. — 17 porcji — przypomniałam, tylu bowiem było tych jeńców, sama zaś z moim żandarmem udałam się do podoficera, który nam wydał potrzebne środki opatrunkowe. Zaledwie znaleźliśmy się na rogu ulicy, przy gmachu środkowym, nagle niebo zasnuły samoloty i ani się spostrzegłam, jak tuż koło naszych stóp zaczął przyskać piasek i odłamki asfaltu. Znowu pociski CKM-ów leciały prosto na nas. Jednocześnie z któregoś okna nad nami posypały się odłamki stłuczonych szyb. Szarpnięta energicznie przez żandarma przytuliłam się jak on do ściany za występem drzwi.

Nalot wreszcie się skończył, mogliśmy wrócić do pawilonu. Wysłany po śniadanie sanitariusz powrócił również, a wraz z nim dwóch żołnierzy, którzy taszczyli słomę do wypchania sienników oraz bieliznę. Oprócz tego otrzymaliśmy jeszcze inny niespodziewany prezent (nie wiem dotąd, od kogo) w postaci młodziutkiej siostrzyczki, która okazała się bardzo chętna i dobrze wyszkolona, tak że po krótkim czasie Niemcy byli umyjni, nakarmieni i leżeli w czysto zasła-

nych łózkach. Teraz przystąpiliśmy do dokładnych oględzin i opatrunków. Rzeczywiście byli lekko ranni; jednego tylko wysłaliśmy z jednym z żandarmów do głównego pawilonu do zbadania, bo lekko odpluwał krwią.

Na nasze pytania Niemcy nie odpowiadali wcale lub niechętnie, monosylabami. Po pewnym jednak czasie, obserwując nas uważnie, ten i ów grzecznie poprosił o coś, a potem już wszyscy dziękowali za każdą wykonywaną przez nas czynność, co było wręcz krępujące.

Zrobiło się gorąco, słońce oświetliło tę stronę, gdzie znajdowały się salki chorych, w pokojach zrobiło się duszno. Chciałam otworzyć okna, ale w porę powstrzymał mnie żandarm. — Nie wolno. — Wskazał przy tym dyskretnie głową na niebo. I słusznie nie było wolno. Zaczął się nowy nalot, tym razem długi i ciężki. Raz po raz słyszeliśmy wybuchy bomb gdzieś chyba niedaleko i strzały naszej artylerii przeciwlotniczej. Mimo że wszystko było zrobione, nie mogliśmy opuścić pawilonu, ciągle pod ostrzałem uważnych spojrzeń naszych pacjentów. Przy każdym huku, przy dudnieniu bombowców nad nami, unosili głowy i, milcząc, wpatrywali się w widoczne przez okna niebo. O ile przed chwilą okazywali jeszcze uprzejmość, o tyle teraz w oczach ich pojawiły się złośliwe błyski. Co mogli myśleć? Że ich bracia obrzucą nas bombami, że zjawią się tu wkrótce, a my znajdziemy się w ich obecnym położeniu... Chyba tak mówiły ich oczy.

— Czy można, siostrzo, otworzyć choć jedno okno? Strasznie tutaj gorąco — zwrócił się w pewnej chwili któryś.

— Nie wolno — powtórzyłam.

— Ach, nie wolno. Rozumiem, rozumiem... Przepraszam — odpowiedział z jakimś słodko-drwiącym uśmiechem.

Po skąpym i dość późnym tego dnia obiedzie (kuchnie nie mogły być czynne w czasie nalotów), w miarę możliwości nakarmiwszy jeńców, udałyśmy się z młodą siostrzyczką do głównego pawilonu po dalsze rozkazy — czy mamy tu pozostać na noc, czy też dadzą jakąś inną zmianę.

W pawilonie chirurgicznym zastałyśmy nieopisany ruch. Wszyscy wbiegali, wybiegali, znosili jakieś skrzynie, paki, ładowali na samochody. Na schodach stał nasz kapitan z kamienną twarzą, jak piękny posąg patriarchy-bohatera. — Ewakuacja — powiedział.

Znowu pędziliśmy przed siebie — na Łuck. Ewakuacja? Dlaczego? A ten tak doskonale przygotowany szpital? — Czy aby dojedziemy do tego Łucka? — mruknął ktoś z niewiarą. Wiedzieliśmy już, że nasze nocne transporty rannych zginęły. Pociągi sanitarne, opatrzone wielkimi znakami Czerwonego Krzyża na dachach wagonów, widocznymi z daleka, zostały zbombardowane tego samego dnia, kiedy zostały wysłane.

Znacznie później dowiedziałam się, że i cała twierdza brzeska uległa poważnemu zniszczeniu, że nawet ten mocny, żelbetonowy schron nie ostał się pod ciosami ciężkich pocisków...

W Łucku zatrzymaliśmy się przed gmachem Województwa, gdzie kapitan poszedł po dalsze rozkazy. Miał mieścić się tam sztab sanitarny. Ale okazało się, że całe Województwo już było ewakuowane, że owszem, rano był tam sztab z gen. Ruppertem, ale już wszyscy wyjechali. Żadnych rozkazów nie zostawili. Zresztą, komu je mieli zostawić, skoro już nikt ze sztabu nie pozostał? Kapitan powrócił zły. — Na Dubno — rozkazał. — Tam ich złapiemy, jeszcze chyba są. Musimy przecież dogonić kogoś, aby coś wreszcie z sobą zrobić.

Stanęliśmy tam wczesnym rankiem. Śliczne, czyściutkie, ciągnące się rozwlekle miasteczko przyjęło nas bardzo gościnnie. Na pierwszym postoju przy małej uliczce przedmieścia, z powodu jakiegoś defektu w motorze jednej z sanitarek, rozeszliśmy się po domach. Miłe, schludne kobiety wprowadziły nas do ciepłej kuchni, gdzie mogłyśmy się umyć w nagrzanym dobrze wodzie, a potem jedliśmy dawno nie widziany świeżutki chleb, popijając gorącym mlekiem. Dochodziło pół do szóstej, kapitan nakazał jazdę. — Chyba już wstali i będzie można się do nich dostać.

W Dubnie sztabu nie było. Ta sama historia co w Łucku: byli nocą, ale już wszyscy dawno wyjechali...

Po długiej i uciążliwej jeździe, przerywanej częstym kryciem się gdzie popadło przed coraz spotykanymi samolotami, dojechaliśmy do Krzemieńca. Miasto mijaliśmy szybko, prawie go nie widząc, zwolniwszy jedynie nieco przy mijaniu góry Królowej Bony, aby ją zobaczyć. W dość dużej odległości za miastem, w dawnym Liceum Rolniczym, mieścił się szpital wojenny nr 505.

Wyżywienie było obfite, ale niezbyt smaczne. O tyle nie robiło to nam różnicy, że zaraz za boczną bramą znajdowała się duża spółdzielnia „Masłosojuzu”, zaopatrzona w cudownie smaczny nabiał wszelkiego rodzaju, a u miejscowego ogrodnika można było kupić owoce i jarzyny, kolacje więc przyrządzałyśmy sobie same u nas w pokoju. Wkrótce „dokwaterowali” się na nie i obaj nasi podchorążowie. Pieniądzy wciąż mieliśmy dosyć, jak nigdy chyba przedtem (a tym bardziej później) i nie było ich na co wydawać, bo nasze „dożywianie” kosztowało grosze.

Chyba na drugi czy też trzeci dzień naszego pobytu tutaj zostaliśmy wezwani przez ppłka P. W jego gabinecie czekali już nasi lekarze i dwóch obcych oficerów. — Coś się nowego kroi — szepnął dr Janek i cała nasza trójka, skupiona razem, czekała z napięciem celu tej nagłej odprawy. Okazało się, że w gmachu naszego szpitala znaleziono wiele skrzyń, wypełnionych aktami MSZ, pozostawionych przez kwaterujących tu przed nami pracowników tego ministerstwa. Był też, podobno, między nimi i min. Beck. Kogo tu zresztą nie było? Wszelkie sztaby i urzędy gościły w tym cichym zakątku w swym „przełocie” za granicę. Wyjeżdżając w pośpiechu, zostawili cały ten wielki „dobytek”.

Z głębi kraju dochodziły ciężkie wiadomości. Cały kraj zalany był już przez

hitlerowców, broniły się jeszcze Warszawa, Modlin... Pułkownik wyjaśnił, że lada dzień lub nawet lada godzina nieprzyjaciół może wkroczyć i do nas. Musimy tej samej nocy jeszcze spalić wszelkie materiały pozostałe po Ministerstwie. Obowiązywała, naturalnie, absolutna tajemnica.

O zmroku stawiała się kilkunastoosobowa grupka nas wybranych przez pułkownika i zaraz przystąpiliśmy do rozbijania skrzyń. Paliliśmy ich zawartość na kilku małych stosach rozpalonych w tyle parku, w zupełnie osłoniętym, odosobnionym kącie. Co zawierały one, nie wiedzieliśmy. Nie przeglądając, w myśl instrukcji, rzucaliśmy w płomień wszystko. Może to były jakieś bezwartościowe szpargały, ale chyba nie, bo po cóż wożono by je przy ewakuacji tak daleko? Nikt z nas nie pojmował tego, pozostawiając jednak osobiste komentarze nie wypowiedziane. Nie wiedzieliśmy również, dlaczego właśnie my zostaliśmy tymi nielicznymi „wtajemniczonymi” — tyle się działo rozmaitych spraw od początku naszej tułaczki, których nikt nie rozumiał. Wierzyliśmy jednak, mimo wszystko, że działo się to jedynie jakimś szczególnym zrzędzeniem losu, choć wątpliwości zjawiały się ostatnio niepokojąco często.

1. *„Lepsze skrytowanie przed cenzurą - jest już po 17 IX, a szpital woj., i jego personel został interesowany przez Władze sowieckie”*

Pewnego dnia, wróciwszy z dyżuru, zastałam w pokoju niezwykłego gościa: był nim dentysta, który przyszedł z wizytą pożegnalną. Wyjeżdżał dziś jeszcze. Dokąd? Sam nie wiedział dokładnie. — Byle stąd jak najdalej — wyjaśnił ponuro. Miałam wrażenie, że raczej nie chciał zdradzić swoich planów, więc nie pytałam o nic. Byłam mocno zdziwiona jego pamięcią, ponieważ nigdy dotąd nie stykaliśmy się towarzysko ani nie łączyło nas nic poza wspólnym przydziałem. Przyjęłam go w miarę gościnnie, częstując nawet herbatą i keksami „z lepszych czasów” i wzdychając tylko w duchu, aby się czasem nie zjawiał dr Janek, bo sytuacja stałaby się mocno niezręczna. Na szczęście bawił krótko. Odprowadziłam go do schodów, bo sama szłam właśnie na wieczorny obchód oddziału.

W pewnym momencie ujrzałam nagle w drzwiach jednej z sal, gdzie byłam, moją Aluškę. Kiwała na mnie, dając znaki, abym do niej podeszła. Poleciałam jej wrócić do pokoju, niezadowolona, że wchodzi tutaj, chociaż wie, że tego jej nie wolno. W duchu postanowiłam udzielić jej później „surowej nagany” i nie reagując na jej dalsze znaki, wróciłam do swoich zajęć.

— Na chwileczkę, tylko na minutkę, ale przyjdź zaraz. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia — powiedziała półgłosem, lekko przekraczając próg. Minkę miała wyraźnie speszoną. Ponieważ, mimo mojej „zasadniczej postawy”, nie wychodziła, wyszłam z nią na korytarz nachmurzona i oto moja córeczka sięgnęła pod narzucony na krótką sukienkę sweterek i wręczyła mi wyciągnięty spod niego wielki rewolwer.

— Jezus, Maria! — jęknęłam zaskoczona i jednym ruchem schowałam broń do kieszeni fartucha.

1. *W tej części wspomnień był opis dnia 17 IX 39 r.*

Interesującym me wstąpiło o pomoc do szpitala w opitalu sale zajęli z G.P.U. W tym czasie obecne były warty sowieckie, komitatom i żołnierze sowieccy mieli K.G. i...

em niemal przebiegłam korytarz, aż wreszcie dostałyśmy się do pokoju. Okazało się, że Ala, sięgając do skrzyneczki ze szczotkami i pastą do obuwia, znalazła leżący tam rewolwer. Wiedząc, że posiadanie broni jest tak surowo zakazane, nie namyślała się wiele i zaraz postanowiła mi go wręczyć. Wykonała ze słusznego założenia, że musi to uczynić natychmiast, póki do pokoju nie powróciła siostra Krysia, której przecież nie znałyśmy bliżej.

Kto to mógł podrzucić? — zastanawiałyśmy się. Wszystkie trzy byłyśmy pewne, że dziś rano nie było w pudełku tego prezentu.

— To tylko mógł zrobić dentysta — stwierdziła Adelajdka. — Kiedy tu przyszedł, powiedział, że sobie chce oczyścić buty, a nie ma szczotki. Pokazałam mu skrzyneczkę, a sama musiałam na chwilę wyjść z pokoju. — Ala coś mi powiedziała, więc też nie patrzyła, co on tam robi. Zresztą, kto by mógł przypuścić podobnego.

Niestety, widocznie tak było. Nie przychodził do nas dzisiaj nikt inny. Właściwie istotnym powodem pożegnalnej wizyty była chęć podrzucenia uciążliwego przedmiotu. Dlaczego wówczas nie oddał broni? Dlaczego, skoro już ją zostawił, teraz postanowił się jej pozbyć i to właśnie tutaj, mając ostatecznie nadzieję dość innego miejsca? No i co z tym zrobić?

Nakazując Ali i Adeccze absolutne milczenie, poszłam z bijącym sercem i wypchaną kieszenią, poprzez wartownię, do drugiego budynku, gdzie mieszkali lekarze. W pokoju mjra T. było ciemno i nikt nie odezwał się na pukanie. To samo w pokoju podchorążych. Musieli dokąś wyjść. Co robić? Czekać nie mogłam. W pewnej chwili dojrzałam światło sączące się przez drzwi pokoju komendanta. Nie mogłam wahać się dłużej. Podeszłam i zapukałam dość mocno. Pułkownik Sz. siedział w fotelu, coś czytając. Ledwie weszłam, zameldowałam mu o znalezionej broni, którą wydobyłam teraz z fartucha. Chciałam właśnie usprawiedliwić się ze swego wejścia, wyjaśnić, że uważałam to za zbyt ważną sprawę i dlatego musiałam go niepokoić o tej porze w prywatnym pokoju, ale spoglądał na mnie, jakby zobaczył przed sobą upiora, zastygły w pozycji półschylonej, z ręką na czytanej przed chwilą książce, jakby wrosnięty w podłogę. Nagle skoczył, jakby się zbudził z koszmarne go snu, upuszczając książkę na podłogę, podbiegł do drzwi, zamknął je na klucz, po czym zgasił światło. Nie rozumiejąc nic, ja teraz stałam, jak przed chwilą on, skamieniała.

— Proszę natychmiast z tym wyjść! Proszę to zniszczyć, zabrać, zniszczyć, zniszczyć — syczał nieprzytomnie stłumionym głosem.

— Nie rozumiem... — powiedziałam wolno.

Ocknął się widać. Po sekundzie wahania wziął z mojej dłoni nieszczęsny rewolwer, wyjął zeń magazynek, sprawdził, czy nie ma kuli w lufie, następnie wręczył mi to wszystko z powrotem.

— Proszę to natychmiast zniszczyć, wyrzucić — powtórzył, dysząc ciężko.

Nie odezwałam się już więcej, wolno wkładając do kieszeni części pistoletu, aż otworzył przede mną drzwi. — Pani rozumie... pani rozumie... — zaczął

na sznurkach, z wielu buty miało okrycone
skratami.

bąkać, na co skinęłam jedynie głową. Odpowiedź przecież mogła być tylko jedna. — Co teraz z tym począć? Gdzie wyrzucić? — myślałam już całkowicie chłodno, wolno wychodząc do parku.

Było już dość późno, światła pogaszone, mżył drobny, październikowy deszcz. W parku na krok nie mogłam nic dojrzeć przed sobą. Mijając jakieś krzewy już zamierzałam wyrzucić w ich gęszcz niemiły ciężar, wtem usłyszałam chrzęst żwiru za sobą. Nie przyspieszając kroku, z ręką ukrytą w obciążonej kieszeni, aby ją nieco podtrzymać, szłam wolnym, spacerowym krokiem wzdłuż ciemnej alejki. Minął mnie sowiecki patrol...

— Guliajete niemnożko, a? — zagadnął żołnierz, oświetlając mnie ostrym snopem światła czechoskiej latarki. — Dożdż, tiomno, iditie uże damoj — doradził drugi. Mruknęłam coś, starając się uśmiechnąć nawet. Poszli naprzód. Ale ja przecież musiałam jeszcze „guliat”. Orientowałam się, że teraz nie mam wyboru i muszę się śpieszyć. Nie było bezpiecznie spotkać ich po raz drugi... Wreszcie weszłam na mały mostek, pod którym szemrała woda. Bez wahania, nie zatrzymując się, wrzuciłam w wodę całą zawartość kieszeni. Chlupnęło głośno. Nadśluchiwałam chwilę, rozglądając się w ciemności, czy aby nie wyłoni się z mroku nowy patrol. Na szczęście nie było nikogo. Wróciłam do pokoju. Napróżno starałam się uspokoić. To, co się stało, w żaden sposób nie mogło znaleźć usprawiedliwienia. Myśli zaczęły cisnąć się do głowy, przypominały się wszystkie przeżycia od początku wybuchu wojny, analizowałam je, widząc szczegóły jak w powiększającym zwierciadle, szczegóły, które odsuwały się ze świadomości, odpychane przez pędzące coraz to nowe wydarzenia: nasze przygotowania, plany, zapał pierwszych dni opromieniony wiarą... Wyjazd Tadzika... ależ tak, przecież 39 Dywizja, z którą wyruszał na front, wyszła bez kompanii sanitarnej i bez żadnych środków transportu rannych... Zapewne nie ona jedna. Młody plutonowy znaleziony w lesie — za późno — musiał umierać, bo nie miał mu kto w porę udzielić pomocy... Iluż takich było? A my co? Czego dokonaliśmy z naszymi przygotowaniami, wyposażeniem, wiarą?

Nazajutrz zgłosiłam się u mjra Z. Zastałam u niego obu podchorążych.

— No, co słyhać? Co panią sprowadza, siostrzyczko? — powitał mnie serdecznie, jak zwykle, major.

Opowiedziałam mu wczorajszą historię z rewolwerem i zajście z kometantem.

— A czemuż pani do nas z tym nie przyszła? — wykrzyknęli jednocześnie wszyscy trzej.

Wyjaśniłam, jak było.

— Ależ kanalie. Ależ kanalie — nie wytrzymał dr Janek, zmitygowawszy się natychmiast obecnością przełożonego, tylko pięści zaciskał z tajonej pasji.

— No tak, i tacy ludzie bywają... — odezwał się w zamyśleniu major. — Pani nie знаła dotychczas ludzi z tej strony. Wojna, to jest egzamin charak-

terów, taki test psychotechniczny, nie wszyscy go zdają. Jeżeli w ogóle można mówić o usprawiedliwieniu, to... mój Boże, strach jest instynktem, obroną przed niebezpieczeństwem. Instynkt życia jest bardzo silnym instynktem i trzeba bardzo silnego opanowania, aby potrafić go odsunąć. — Albo... ale to jest już inna sprawa; nie czas wdawać się w tego rodzaju psychologiczne dociekanie... Pyta pani, czego my dokonaliśmy? Może nic, a może jednak troszkę, według możliwości, jakie los nam stworzył. Okazja... och, to jest bardzo wiele w życiu. ... Właśnie na te tematy rozmawialiśmy wczoraj z kolegami... — wskazał na podchorążych. Zamilkł, zamyslił się i nagle, przeskakując z tematu, powiedział. — Tak, pani ma rację, pani powinna wracać.

Oni wszyscy trzej zdecydowali się na to samo. — Zdecydował się i pplk P. Tak, wczoraj wieczorem wyjechał. Prosił, abym panią pożegnał od niego, myślał, że panie już śpią, bo nie zastał pani na oddziale...

— Jak to, to i pułkownik wyjechał? — spytałam zaskoczona. — Szkoda, że nie wiedziałam...

Major od razu wyczuł żal w moim głosie, bo zaraz wyjaśnił. — To nie był taki zwyczajny wyjazd, on tak troszkę „na lewo” wyjechał, nawet bez wiedzy, a raczej bez zgody komendanta... Gdyby nie to, z pewnością nie zapomniałby o pani... z nami też będzie nieco trudniejsza sprawa, toteż musimy nieco odczekać..., ale pani, będącej w specjalnej sytuacji, mającej tutaj dziecko, powinno się chyba udać. Ile będę mógł, pomogę pani. — Uścisnął mi serdecznie rękę, obiecując sam pomówić z komendantem.

— O, ze strony tego... z pewnością nie będzie pani miała trudności — szepnął zjadliwie dr Janek.

Mimo starań majora, sprawa uzyskania zezwolenia na wyjazd okazała się i dla mnie nie taka prosta. Władze sowieckie, po początkowym okresie „przymykania oczu” na stopniowe znikanie tak licznego na początku personelu, położyły temu wreszcie kres i nie dawały zezwolenia na opuszczanie terenu.

Zaczęła się dżdżysta jesień, chłodne dni i nocami porządne przymrozki. Żyłam jedyną myślą o wyjeździe. A moja Aluška nie miała przecież jeszcze ciepłego płaszczka. Trzeba było go zdobyć jeszcze przed wyjazdem. Tylko gdzie i jak kupić? Niespodziewanie łatwo poszło mi z uzyskaniem przepustki do miasta; ten powód był dla władz zupełnie wystarczający. W towarzystwie przydzielonego mi żołnierza z wartowni wybrałam się do Krzemieńca, gdzie jedynie dzięki znajomości mojego opiekuna z właścicielami sklepów udało mi się kupić ciepły płaszczek w bardzo dobrym gatunku. Z radości zakupiłam mnóstwo ciastek w jakiejś cukierce i obdzieliłam nimi po powrocie wszystkich moich pacjentów i sanitariuszy. Radość więc była ogólna i oglądanie mojego zakupu przez wszystkich. Przy tej okazji oznajmiłam im swoje zamiary. Nasi chłopcy przyjęli wiadomość ze zrozumieniem, wyrażając jedynie niepokój, czy mi się nie wydarzy w drodze jakaś niemiła przygoda. O napadach po drogach ciągle jeszcze opowiadano.

Natomiast sale „ruskich” nie mogły zrozumieć powodu. Oni uplanowali już sobie, że pojedą z nimi „w Moskwę”, gdzie, jak gorąco zapewniali, „pau-czu rabotu w bolnice, komnatku”, a nawet „walonki” na zimę, „dla doczki szkołu, dla Adoszki rabotu, ili charoszowo muża”... To, że nie wiem nic o domu, mężu, rodzinie, że muszę się z nimi skomunikować, nie wydało im się ważne. Dom z pewnością „Germancy rozbili”, do rodziny i z Moskwy można napisać, a co do męża, to też da się załatwić przez ich „Krasnyj Krest”. Gdyby go zaś nie odnaleziono, to u nich „tożę można najti charoszewo maładca”.

Mimo tych perspektyw nie ustawałam w staraniach, które, mimo poparcia nawet naszego komendanta — jak mi opowiadał major — nie ruszyły z miejsca. Wyjeżdżać „na lewo” bałam się, mając przy sobie Alę i dwudziestokilkuletnią Adelajdkę. Przyszedł mi z pomocą przypadek: nasz dawny pacjent (owa władza z GPU) zjawił się kiedyś u majora. Spotkałam go na korytarzu, podszedł do mnie, witając jak dobrą znajomą. Korzystając z tak wyjątkowej okazji, wyznałam mu swoje kłopoty. Z początku i on nie bardzo rozumiał, dlaczego chcę koniecznie wyjechać. — „Tam Germancy, na czto ujeżdżat ad sjuda”? — dziwił się. Nie mogłam mu przecież podać innych, równie istotnych powodów i nie wiem, czy najsilniejszy argument, jaki podałam: konieczność zdobycia wiadomości o mężu, przekonał go. Nic na to nie odpowiedział, pokiwał tylko głową, jakby na znak potwierdzenia, czy też może przeciwnie, koniec końców jednak obiecał sprawę rozpatrzyć i dać mi odpowiedź.

Wieczorem major przyszedł do mnie, opowiadając, że nasz były pacjent rozmawiał z nim o mnie. „Żalko — wyznał — u nas takich nužno”... Opowiadając o takiej pochwie, zawierającej podobne, jak i nasi pacjenci zamiary, major uśmiechnął się i nagle zrobiwszy tajemniczą minę, sięgnął do kieszeni, z której wydobyl maleńkie pudełeczko.

— To dla pani, sestro — powiedział — od wdzięcznego pacjenta. — Co to jest? — sięgnęłam, otwierając wieczko. Był to taki niby krzyżyk, zawieszony na maleńkim łańcuszku, którego zakończeniem była czerwona gwiazda, sam zaś krzyż mieścił pośrodku niebieski półksiężyc, a całość obramowana była srebrnym kołem, na którym widniał napis: „Gatow w sanitarnoj abaronie”... Czytać jeszcze nie umiałam po rosyjsku, więc wytłumaczył mi wszystko major.

— Ale co to jest i dlaczego? — nie rozumiałam ciągle.

— Ja otrzymałem prawie taki sam, niech pani spojrzy — roześmiał się. — A dlaczego, nie wiem, widocznie przez wdzięczność za leczenie... To, widać taki u nich zwyczaj...

Schowałam niezrozumiałe „odznaczenie”. Jakoś poprzez różne późniejsze zawieruchy, w których straciłam wszystko, co posiadałam, ta pamiątka pozostała mi do dziś wiernie...

Kiedy już niemal straciłam nadzieję, okazało się, że wdzięczny ciągle pacjent dotrzymał słowa i to stosunkowo szybko, bo minęło niewiele czasu od

naszej rozmowy, a otrzymałam upragnione zezwolenie, na którym dopisano dodatkowo polecenie do władz opieki nad nami w drodze, jako „bieżeńcami”, udającymi się w rodzinne strony.

Serdecznie pożegnałam się ze wszystkimi w naszym pawilonie, dr Janek i dr Lucjan dali mi adresy swoich rodziców w Poznaniu z prośbą, abym, jeżeli szczęśliwie dotrę do Warszawy, napisała do nich, podając o obu wiadomości i zapowiadając zamiar rychłego powrotu. Wszyscy trzej lekarze, włącznie z sanitariuszami i pacjentami mogącymi chodzić, odprowadzili nas do bramy i odjechałyśmy zamówioną przez majora dorożką na odległy dworzec kolejowy. Tam czekała nas nowa niespodzianka: przed kasą oczekiwało dwóch żołnierzy z wartowni, wręczając nam bilety, a potem, robiąc tajemnicze miny, zaprowadzili nas do zarezerwowanego dla nas przedziału I klasy. Nie dowiedziałam się już, czy i to było z polecenia owej tak wdzięcznej „władzy”, czy też z ich własnej inicjatywy, ponieważ mówili obaj po rosyjsku zupełnie odmiennie niż ci, z których wymową zdołałam się osłuchać, i nie bardzo mogłam się z nimi porozumieć. Pożegnane mimo to serdecznie, z wielokrotnym ściskaniem dłoni, weszłyśmy do wspaniałego wagonu. Nie mogłam uwierzyć szczęściu, kiedy pociąg ruszył.

Niedługo nam było dane cieszyć się tak pomyślnie zapoczątkowaną podróżą. Po przejechaniu kilku zaledwie stacji pociąg zatrzymał się: dalej nie idzie. Po paru godzinach tułania się po dworcu i rozpytywania o dalsze połączenie, załadowano nas do towarowego (na odmianę) pociągu, wypełnionego do najwyższych granic pojemności rozmaitego rodzaju „bieżeńcami”. Thukło to, trzęsło niemiłosiernie i wlokło się beznadziejnie. Tak wreszcie, wymęczone, a przede wszystkim zmarznięte „na kość”, dobrnęłyśmy do Zdobunowa. Tu znowu stop. Pociąg nie idzie dalej. Nie robiono też żadnych nadziei na jakikolwiek inny w stronę Warszawy. Owszem, miał wkrótce iść jakiś na Lwów, ale tam przecież nie miałam po co jechać, więc nie posłuchałam namawiań współtowarzyszy podróży, którzy — obojętne, jaki kto miał cel podróży — tłumnie rzucili się na peron, gdzie wjeżdżał zapowiedziany pociąg.

Padła śnieg, zrobiło się bardzo zimno, bo wiał jednocześnie silny, północny wiatr. W tych stronach zima zaczynała się wcześniej. Na szczęście dopchałyśmy się do obłożonego bufetu i wypily po szklance jakiejś lury, zwanej herbatą — grunt jednak, że była gorąca. Nie wiedziałam, co począć dalej i byłam pogrążona w najczarniejszych myślach, kiedy na horyzoncie zamajaczyła lokomotywa, a za nią długi sowiecki pociąg sanitarny. Szybko nałożywszy na ramię opaskę Czerwonego Krzyża, bez wahania podeszłam do wartowników, prosząc, aby zabrano nas tym transportem, który szedł właśnie w upragnionym kierunku. Sprawdziwszy dokładnie nasze przepustki, zgodzili się i umieścili nas w dość wygodnym wagonie. Po wielu wekslowaniach i nadprogramowych postojach dojechałyśmy aż do Białegostoku. Tutaj władze wojskowe na dworcu oznajmiły,

że absolutnie żaden pociąg dziś nie odejdzie. Cóż, trzeba było zatrzymać się na dworcu.

W wielkiej, ale nadspodziewanie czystej poczekalni koczowało mnóstwo ludzi, zegnanych tu z przeróżnych stron przez niewiadome losy. Wynałazłam nie zajęty jeszcze kącik między dwiema ławkami i tam ułożyliśmy prowizoryczne postanie dla Ali, same zaś przycupnęliśmy obok, starając się zdrzemnąć chociaż trochę. Jutro nie było wiadome przecież.

Od rana zaczęłam wędrówkę po rozmaitych władzach, chcąc się dowiedzieć o jakikolwiek pociąg. Okazało się przy tym, że nasze przepustki z Krzemieńca są tutaj nieważne: tam były władze ukraińskie, a tu są białoruskie. Trzeba było uzyskać nowe zezwolenie od „Kamandira goroda”.

Takowy okazał się zupełnie nieuchwytny: albo go nie było, albo nie przyjmował. Trzy tygodnie koczowałyśmy na gościnnym dworcu. Sprzedałam mój zegarek jakiemuś żołnierzowi na ulicy za ileś tam „czerwieńców”, w których wartości nie orientowałam się wcale, ale znaleźli się dobrzy ludzie, którzy mnie dokładnie poinformowali.

W tej obcej, zegnanej zewsząd gromadzie koczowników, pomagając sobie wzajemnie, jak kto był w stanie, żyłyśmy życiem takim jak i oni. Dobrze, że posiadałam z sobą dostatecznie zaopatrzoną apteczkę „pierwszej pomocy”, w którą zaopatrzyli mnie na drogę nasi lekarze; przydała się teraz ona niezmiernie. To komuś zrobiło się słabo, to bolała głowa, brzuch, ząb, to trzeba było zrobić opatrunek na jakiejś nie doleczonej ranie. W tak ciężkich warunkach, w walce o byt i niepewność jutra, ludzie zbratali się bardzo szybko i, doprawdy, rzadko kiedy widziałam tyle wzajemnej życzliwości i bezinteresownej pomocy jak wśród tych biednych tułaczy. Kolejarze też pomagali, jak mogli, pilnowali, aby zawsze była woda w umywalniach i pompach, dbali o dostateczne ogrzewanie dworca i przestrzegali drobiazgowej czystości. Ciekawe też i niezbyt często spotykane gdzie indziej zjawisko było to, że tutaj panowała absolutna uczciwość, szczególnie w tak bardzo różnym zespole. Nie było złodziei, oszustów i wszyscy ufali sobie wzajemnie. Nieznane kobiety z miasta podchodziły do nas, częstując gorącą zupą, przynoszoną z domów, nie omijając żadnej grupki, lub proponując nawet gościnę u siebie. Nikt z nas jednak nie ruszał się z dworca na dłużej, w obawie, że może zdarzyć się cud w postaci nieprzewidzianego pociągu. Korzystałyśmy kilkakrotnie z takich zaproszeń, aby porządnie się umyć w czyjejs ciepłej kuchni, przeprać bieliznę. Za takie przysługi, jakże ważne dla nas, bezdomnych włóczęgów, obce kobiety nie chciały przyjąć żadnego wynagrodzenia, ani nawet innego rewanżu. — Dziś ja tobie, ty jutro mnie... — mówiły, a widziałam, że wcale im się nie przelewało. Dobrzy, uczynni, serdeczni byli ludzie w tym obcym mieście.

Za to samo miasto, jakkolwiek ładne, nosiło charakter zupełnie odmienny: nieprzytulny, niemiły, nie posiadający nic ze znanych, własnych stron — było

obce. — Może dlatego robiło wrażenie obcego, że było udekorowane w sposób rzucający się w oczy. Widok taki był dla mnie trochę niezwykły.

Z czasem zawarłam szereg znajomości z ludźmi rozmaitego pokroju i rozmaitych poglądów. Jakkolwiek różni, posiadali wspólną cechę — serdeczną prostotę i umiejętność niesienia pomocy. Między innymi poznałam jednego z tamtejszych lekarzy. Poszłam do niego kiedyś, zobaczywszy na bramie tabliczkę, ponieważ przeziębiałam się silnie i dostałam gwałtownego kaszlu. Nie mogłam teraz być chora, musiałam czym prędzej zapobiec temu. Weszłam tam jako pacjentka. Od razu zainteresował się, kim jestem i skąd się tutaj dostałam. Nie tylko udzielił pomocy i lekarstw, nie chcąc słyszeć o honorarium, ale najserdeczniej zaopiekował się nami, odwiedzając nas kilkakrotnie w naszym kąciuku. Zaczął razem ze mną starania o nieszczęsną przepustkę, ale i on nie zdołał nic uzyskać.

Pewnego dnia, kiedy wróciłam zgnębiona z nieudanej wyprawy do Komen-
dy Miasta, ów lekarz zaproponował mi pracę u siebie — skoro wyjechać się nie da a idzie zima, trzeba gdzieś zamieszkać, z czegoś żyć, więc weźmie mnie do siebie do pomocy. Ma sporo pacjentów, przyda mu się pielęgniarka. Mieszkanie ma duże, żona z dziećmi są jeszcze na wsi, nie sprowadza ich do domu, bo uważa, że w tych niepewnych czasach tam jest bezpieczniej, ale w domu są jego rodzice, pomieścimy się wszyscy, nawet gdy powróci reszta jego rodziny. Mówił to wszystko tonem spokojnym, ale z wyraźnym zażenowaniem człowieka delikatnego, bojącego się urazić propozycją pomocy. Naturalnie, nie przyjął tej oferty. Musiałam inaczej rozwiązać tę sprawę. Poza tym, już po kilku wizytach w jego domu zorientowałam się, że nie jest mu wcale lekko, a „liczni pacjenci” byli obecnie fikcją. Któż teraz chodził do lekarza? Nawet w wypadku poważniejszej choroby ludzie unikali szpitala i dłuższego leczenia, bojąc się opuszczać dom i rodzinę. Praktyki prywatnej też nie miał żadnej, chyba takich jak ja „bogaczy”. Na utrzymaniu miał zaś sporą przecieź gromadkę, bo oprócz żony i dzieci miał i dwoje rodziców. Była to para zalekni-
onych staruszków, którzy prawie wcale nie opuszczali domu, bojąc się ulic, po których snuli się obcy żołnierze, z hukiem przejeżdżała artyleria, czołgi.

Nasi towarzysze na dworcu zbierali się grupkami, radzili, chodzili, próbowali rozmaitych sposobów, aby móc stąd wyjechać. Kiedy jednak sprawa otrzymania legalnych zezwoleń utknęła na dobre, zdecydowałam się przyłączyć do pewnej grupy „bieżeńców”, udających się przez „zieloną granicę” do Małkini, licząc że stamtąd już łatwiej będzie zdobyć jakiś sposób przedostania się dalej... Spotykaliśmy się wprawdzie z ostrzeżeniami innych grup, a przede wszystkim ludzi „z miasta”, że w razie złapania nas na granicy, możemy być narażeni na różne niebezpieczeństwa, włącznie do strzelaniny. Nie mówiąc już, co zrobią z nami Niemcy... Mimo wszystko, nie cofnęliśmy decyzji. Nasza grupka składała się z osób, które puciekały z bombardowanych terenów warszawskich, a teraz pragnęły za wszelką cenę dostać się do domów i rodzin,

większość jednak stanowili młodzi mężczyźni, którzy, gnani poleceniem ewakuowania się przed hitlerowcami, aż tutaj się dostali w owe straszliwe dni września. Pędziła ich teraz tęsknota nie tylko do miejsc rodzinnych, ale i chęć czynu, którego nie zdążyli dokonać.

Tak więc, z małymi tobołkami żywności, wczesnym, ciemnym rankiem listopada, wyruszyliśmy w nową drogę, która stanowić miała nowy i zupełnie odmienny rozdział naszego życia.

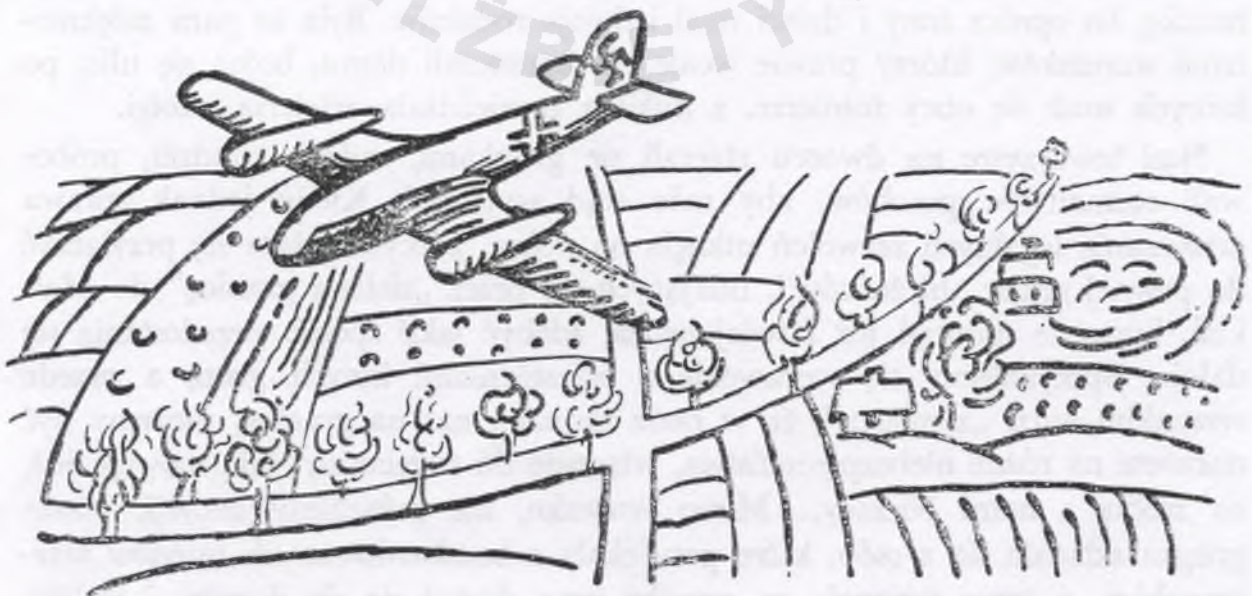
Marsz był forsowny, przerywany bardzo krótkimi postojami, ponieważ chcieliśmy przed nocą dostać się na miejsce. Kluczyliśmy cały czas bocznymi ścieżkami lub lasami. Wieczorem, o pełnym już zmroku, przekroczyliśmy bez żadnych przygód granicę Generalnej Guberni, gdzie na wstępie zostaliśmy powitani gromkim „Halt”.

Najpierw wysłuchaliśmy szczekliwej mówki na temat zachowywania należytego „Ordnungu”, dowiedzieliśmy się, że „Hier ist Deutschland” i, ustawieni w regularną kolumnę, pomaszzerowaliśmy do dworca, gdzie nas załadowano do pociągu, który — trudno było w to uwierzyć — dowiózł nas wreszcie do Warszawy.

Tutaj, ciągle otoczeni grupką żandarmów, musieliśmy zapłacić jakieś „strafy” za podróż bez biletów od Małkini i... wypuszczono nas na kochane ulice Warszawy.

Osmalona niedawno zgasłymi pożarami, stercząca poskręcany kikutami rozbitych, potrzaskanych domów z osłepłymi oknami, Warszawa wyglądała jak ciężko wielokrotnie poraniony żołnierz...

Weszliśmy w szary tłum śpieszących dokądś ludzi, pomiędzy rozlazłe, jak złe robactwo, mundury „feldgrau”.



Przypisy

1. Ten wycinek życia wojennego opisała w książce "Wspomnienia pielęgniarek" PZWL. Warszawa 1962 r. Wyd 1.
2. Mjr. Józef Ratajczak oficer pracujący w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie. Aresztowany przez Gestapo w 1940 r. Osadzony na Szucha, torturowany zmarł. "Meldunek z Pawiaka". Z. Sliwicki PWN Warszawa. Wydanie I 1974 r. (strona 222).
3. Harcmistrz Antoni Gregorkiewicz pseudo "Zakliczewski", "Krokodyl". Był kierownikiem Szkoły Powszechnej Nr 3 w Rembertowie (koło Poligonu) Jeden z pierwszych organizatorów Szarych Szeregów (ZHP). Komendant Okręgu Prawobrzeżnego Mazowieckiej Chorągwi Szarych Szeregów (Ul. Puszcza). Aresztowany 2 października 1942 r. Przeszedł ciężkie przesłuchania w Gestapo na Szucha. Torturowany, wywieziony do Oświęcimia. Powrócił do kraju. Zorganizował we Wrocławiu Technikum Żeglugi Śródlądowej, którego dyrektorem był przez wiele lat. Zmarł 8 lutego 1977 r. we Wrocławiu. "Meldunek z Pawiaka" Z. Sliwicki...str.234.
4. VII Obwód Okręgu Warszawskiego AK "Obroza". Jacek Z. Sawicki PWN Warszawa 1990 r. Strona 254 i 255.



L.dz. 3543 USK 02

T. 3285/WSK

AK
w-wa

†
PACIORKOWSKA Zofia
z d. Hubicka
ps. „Tadeusz”

✓ Nazwiskowe karty informacyjne

2W2-AK

lwa

Paciotkowska Zofia
Kier. i Gwarda Dziecięca w Rembursko

J. Palisce - W imię pamięci
Wnie 2000 b.w

JN-K zob. F: 2450/WSK Per 5.18
Paciotkowska Alicja

vi Fotografie
- ksw 5 szt.

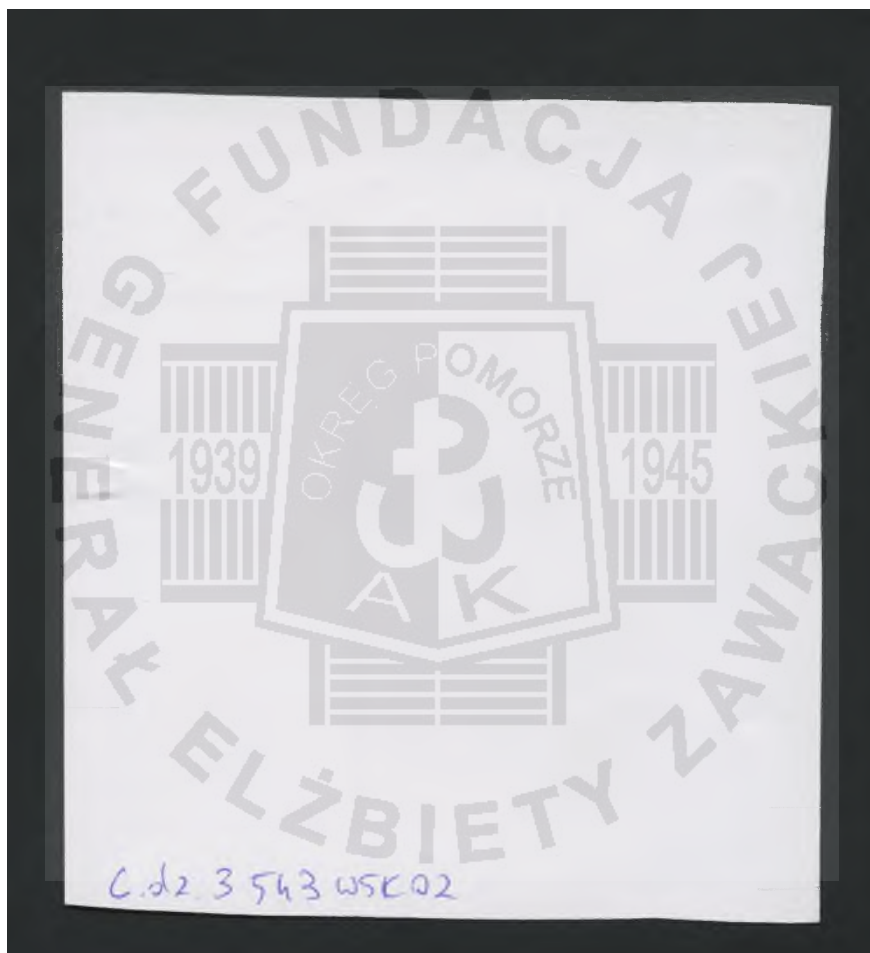




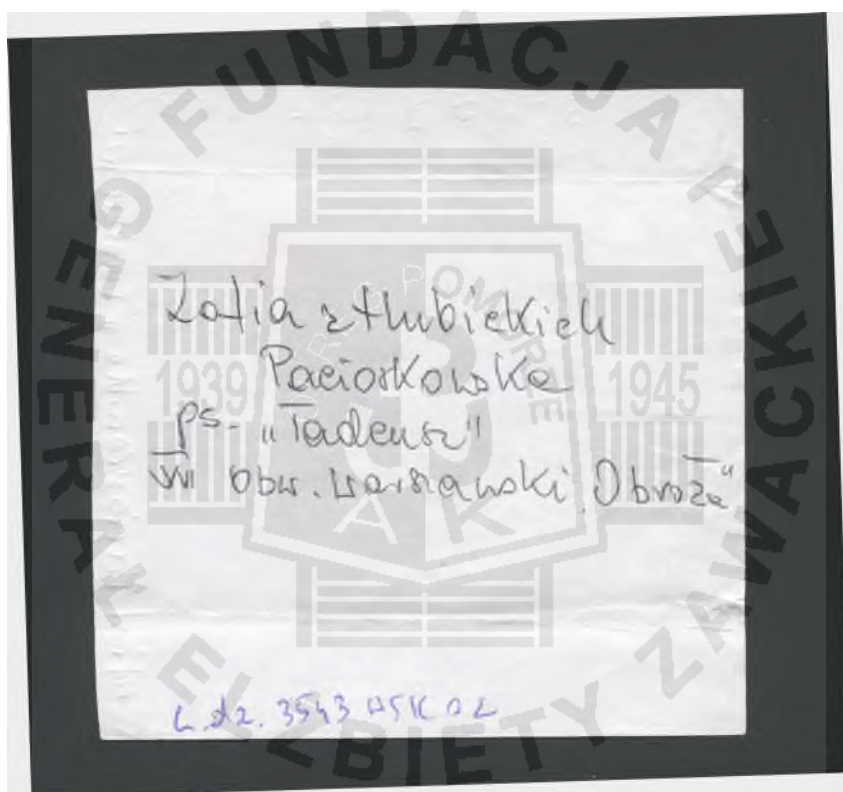


Zofia z tubiekich Paciorkowa
Pseud. "Ladew" lata 38-1939
Re Umberto







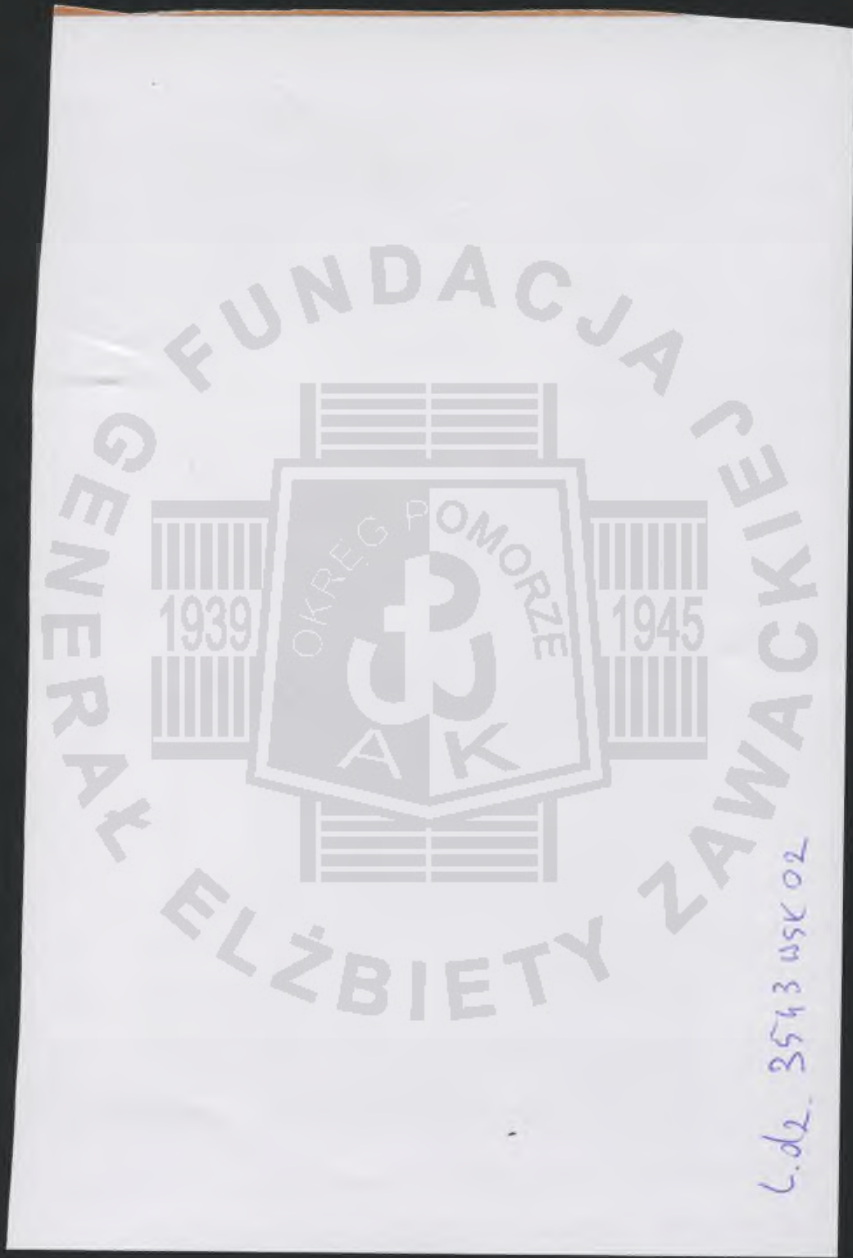


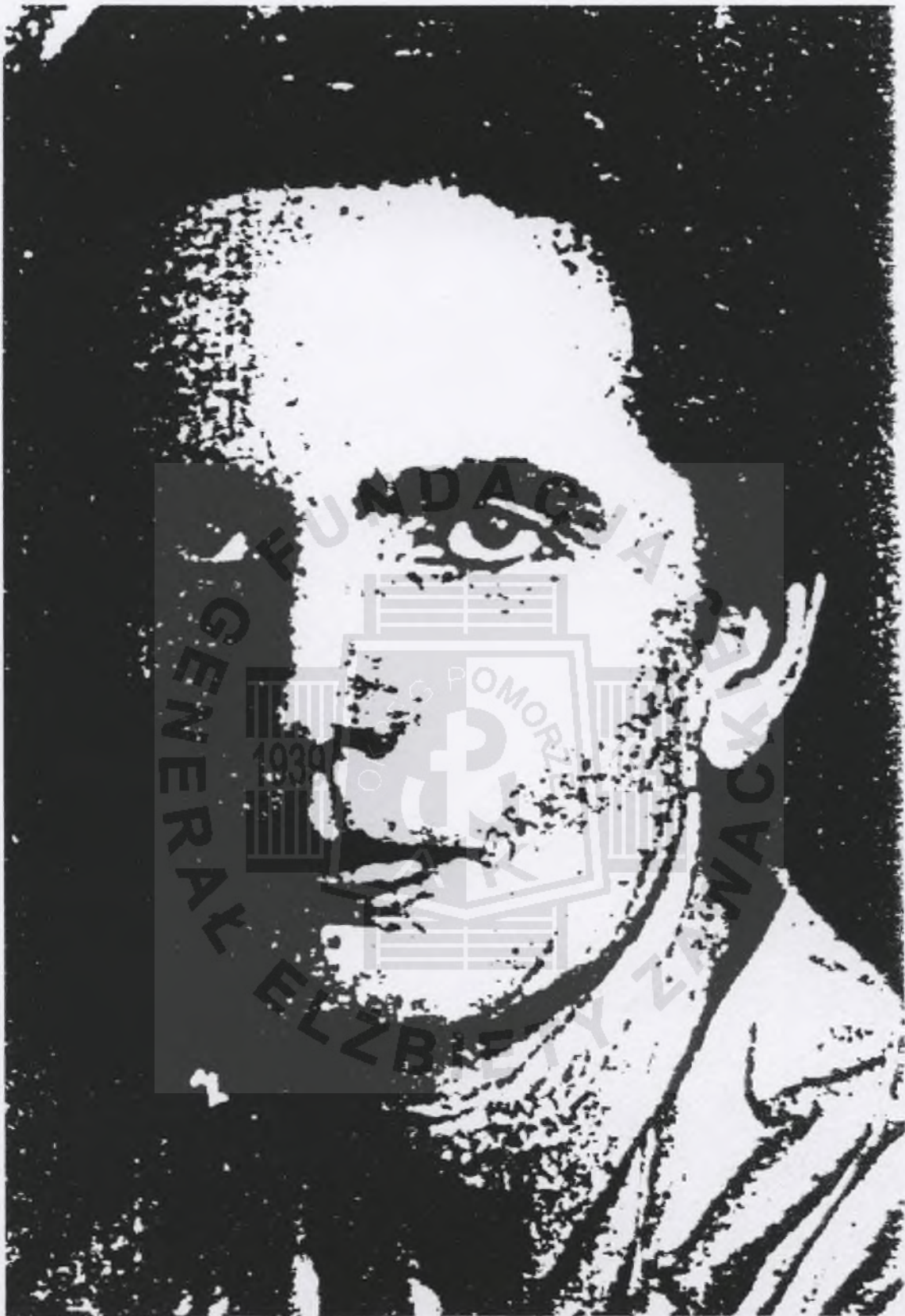
Obok
stoi
Erika
Alieja
Alie-Bab

Koniec
lat
1960



Zofia Pacioskowska odznaczona Krzyżem
za wojnę Obronną 1939r. Cieszym





Paciorewska Zofia z d. Hubicka ps. "Zośka" "Tadeusz"
1904 - 1989

3 Rejon "Dęby" VII Obwód AK "Obroza" - łączniczka , sanitariuszka pomocy
sanitarnej ODB , uczestniczka Powstania Warszawskiego
Krzyż Armii Krajowej , Warszawski Krzyż Powstańczy , Medal Wojska Polskiego
Medal za kampanię 1939 r. i inne.

PACIORKOWSKA Zofia

